

DR. WINCENTY ŚMIAŁEK

**CZEM BYŁA I JEST
KULTURA KLASYCZNA**



L W Ó W 1 9 3 0

Aut. No 160

Aut. No 385 16/10

1.20

DR. WINCENTY ŚMIAŁEK

3127458

**CZEM BYŁA I JEST
KULTURA KLASYCZNA**



L W Ó W 1 9 3 0



1000171963

A-20790

Przedruk z „Gazety Kościelnej“ 1930.

N. ekon 6



K. 1160/56/392

Z drukarni Tow. „Biblioteka Religijna“ we Lwowie. — Tel. 24-61.

Przeszło rok temu wyszła w Oxfordzie książka sekretarza Ligi Narodów Alfreda Zimmerna pod tyt. *Solon and Croesus*. Zawiódłby się, ktoby według tytułu chciał szukać w niej noweli Herodota o tym królu lidyjskim, który na stosie, zgotowanym mu przez zwycięskiego Cyrusa, przypomniał sobie słowa mędrca Solona o nietrwałości szczęścia ludzkiego. W książce myśliciela angielskiego przedstawione jest dzisiejsze zmaganie się nauki czystej, tego parcia do prawdy, które Lessing stawiał wyżej ponad samą prawdę, zmaganie się z rozreklamowaną dziś praktycznością. Solon i Krezus — to zawołania dwóch kierunków, dwóch sił, siły duchowej i materialnej, coś w rodzaju Blaksa i Psychy Zuławskiego i jego wzoru Madacha, tylko nie w historii ludzkości, ale w chwili obecnej, zagrożonej katastrofą, którą odwrócić powołaną byłaby zdaniem autora Liga Narodów.

Ciekawe są też jego zapatrywania na historję. Przedmiot zainteresowań historycznych widzi nie tylko w ludziach wielkich, ale i w ludziach małych, zwykłych, a głównie w ideach, bez których największy człowiek byłby bezsilny.

Te myśli, potracające może o stanowisko Rankego, schodzą się z wielkiem zdarzeniem, które danem nam było przeżyć. Układ laterański, który w dniu 11 lutego z. r. stanął między Kwirynałem i Watykanem, odbił się w całym świecie uczuciem ulgi i radości. Godzi on dwa kierunki myśli, które jakby z przeznaczenia i potrzeb ludzkości płynęły zgodnie z sobą, aż skłó-

ciły je i rozdzieliły względy przemijające. Pakt lateraneński nazywa O. de la Brière, profesor prawa narodów Instytutu Katolickiego w Paryżu, symbolicznie aktem pojednania Piotra z Cezarem. Jest on może nawet czemś więcej. Gdy mowa tronowa włoska przy otwarciu parlamentu głosiła: Pokój Rzymowi! Król i Papież pogodzeni! dośpiewywał sobie świat cały, że w zgodny akord spłynęły dwie idee, które w historii wieków światem rządziły, a dziejom kultury złościły dwa koryta: idea, która postawiła człowieka i jego wzloty duchowe na piedestale dążeń ludzkości, i idea, która poszła poza królestwo tego świata i człowiekowi kazała podnieść wzrok ku wysokościami empirejskim. Pierwszą wykultywował świat grecko-rzymski, drugą chrześcijaństwo. One wchłonęły w siebie zdobycze kultur najdawniejszych i pragnienia duszy, które dopiero teokracja i objawienie zaspokoili. Obie te idee na tle dziejów kultury nie tylko nie sprzeciwiają się sobie, ale wzajemnie się dopełniają i przenikają, o ile burzliwe prądy czasu nie zamącą ich stosunku wzajemnego.

Dzisiejsza kultura materialna wartość obu stara się zaciemnić. Ale słoneczna Italja jest przykładem, jak te cienie, które ona rzuca, rozplywają się pod jasnymi promieniami owych idei. Tam z kopuły Michała Anioła zwisa w 2-metrowych literach zapewnienie opokowej trwałości, przeciwko której portae inferi non praevalent — tam zajaśniała wizja imperii Italo-Romani pod auspicjami niepowszedniego męża, którego Opatrzność dała narodowi za wodza Il Duce. Z poczynań, jakimi ustalił i dźwignął byt dzisiejszej Italji, widoczna, że pragnąłby rzucić pomost od dziś do niegdys, prężonego pełnią owych sił, które wniosły starożytną Romę na szczyty potęgi, a w porządku duchowym roznieciły i zapaliły światło,

przebijające się przez długie wieki aż do czasów naszych. Mimo zmiennego stosunku różnych epok do owego światła, ono wdzierало się zawsze z natężeniem reflektora w mroki i zmierzchy, a zapalną mocą rosło w płomienie, stając się pochodnią w życiu narodów. Musiało się już z niem spotkać i zmierzyć młode chrześcijaństwo. Obcy kompromisom Tertuljan, natura ogni-sta, „une nature de feu“, jak go Boissier nazywa, odwraca oczy od niego. Nie ma rozwagi Piusa XI, który w ugodzie z rządem włoskim jest *intransigente ma non intrattabile*, w zasadach niewzruszony, lecz w praktyce dostępny dyskusji i porozumieniu. Bardziej opanowany niż ów Afrykańczyk a również impulsywny Dalmatyńczyk, Hieronim, walczy ze sobą. Wabi go syrenim głosem spadek duchowy pogańskiego świata, przed którym jakby tarczą zasłaniać się usiłuje powagą Pisma św., by nie zamącić sobie prostej drogi, która mu ciągle wśród tych pokus się wiję. Cyrenejczyk Synesios mimo sakry biskupiej nie chciałby był rozstawać się z ulubioną filozofją grecką. Oczyszczenie kurji rzymskiej z posągu bogini Zwycięstwa (Victoria) natrafiło na opór senatora Symmachusa, który ledwo złamała nieustępliwa stanowczość biskupa medjolańskiego Ambrożego. Sidonius Apollinaris czy mitograf Nonnos przeszli z pod uroku ducha starego, któremu ulegali, pod wyższe blaski Ewangelji, które z drogi młodzieńczych błędów i błędzeń uratowały Augustyna. W duszach tych ludzi rozgrywał się dramat o perypetyjnej głębi i znaczeniu, stawał ich na rozstaju duchowej rozterki.

Wolny był od niej człowiek średniowieczny, który kroczył już ubitym gościńcem zwycięskiego chrześcijaństwa. A jednak świadomie, jak na bizantyjskim Wschodzie, gdzie utrzymał się ustrój dawny, lub mimowiednie, jak na Zachodzie, który

po wędrówce ludów ułożył się w nowe organizmy państwowe, żył ten dawny pierwiastek kulturalny, a nawet znalazł ochronę w celi zakonnika, który z przysłowiową pracowitością benedyktyńską pisma starożytne przepisywał, zdobił i składał w klasztorach bibliotekach. Jak niegdyś w starożytności Aleksandrja i Pergamon, tak teraz zbiorem manuskryptów słynęło Monte Cassino, obchodzące co dopiero 14-wiekowy jubileusz, na który pierwszy swój wyjazd poza Rzym, jak głoszono, przeznaczał Pius XI, który przed swą nuncjaturą w Polsce jako Achilles Ratti strawił życie wśród ksiąg Ambrosjany i Vaticanu. Tu były ogniska dla wybranych. Szczęśliwy przypadek zachował, a entuzjazm humanistów odkrył dzieła łacińskie benedyktyńki Roswithy z Gandersheim z X wieku, owiane miłością wszechludzką w duchu platońskim. Szeregiem legend, dramatów religijnych i kronik historycznych zdobyła sobie u humanistów nazwę *Safony chrześcijańskiej*; a i nauka dzisiejsza przyznaje jej talent niezwykły, oparty o wzory starożytne. I w naszych czasach założycielce Kongregacji *Sacré-Coeur*, Zofji Barat, znajomość łaciny i greki nie przeszkodziła tak przejąć się zasadą „*ama nesciri*“, że została świętą.

I nie kryje się tylko w ciszy klasztornej średniowiecza świat klasyczny, on weiska się w wyrażenia językowe, podania i legendy, których łączność ze starożytnością mimo wszelkich przekształceń niedwuznacznie wyziera, a w pieśniach wagańców z krępujących go dotąd szranek buntowniczo się wylamuje. To przenikanie tradycji starożytnej w życie średniowiecza odzwierciedla *Komedja Boska* Dantego, który u jego schyłku w ramach poglądu średniowiecznego wyznacza pewne role postaciom starożytnym. Ver-

gilius to jego *duce e maestro* w Inferno i Purgatorio, którego największym poetom każe witać sławnym okrzykiem uwielbienia: „Onorate l'altissimo poeta!“ Statius kloni się przed nim jako przed pośrednikiem światłości i prawdy, które na niego spłynęły. Legenda średniowieczna, która styka Vergiliusa z św. Pawłem, prowadzi tego ostatniego na grób Vergiliusa, i wśród żalu, że go nie zastaje żywym, apostrofuje go eksklamatywnem: *poetarum maxime!*

Jeżeli w takim jakby poniewolnem zwracaniu się ku wielkościom starożytnym były świty nowej epoki, to pełnym jej brzaskiem, który świeżością poranku oblał świat, stało się Odrodzenie. Gdy dziś pod błękitami Italji z młodzieńcem zerwaniem się narodu do pracy twórczej rozbrzmiewa faszystowski hymn *Giovinezza*, to jest on oddźwiękiem renesansowego upojenia życiem, które musowało i przelewało się w medyceuszowski wykrzyk: „*Quanto bellè giovinezza!*“ Człowiek ówczesny spojrzął okiem człowieka starożytnego na ziemię i znalazł, że jest piękną. Wiosenny ogarnął go przypływ optymizmu, wzrost pragnień i siły twórczej. Uśmiech nieba włoskiego wtórował tym popędom. Rozrzucone dokoła zabytki przypomniały mu epokę rzymską z jej dziedzictwem greckiem, które napływ uchodźców greckich po upadku Cesarstwa Bizantyjskiego ożywił i zbliżył. Podziw dla kultury grecko-rzymskiej i całej spuścizny narodów klasycznych, którą naraz poczęto gorączkowo wyszukiwać i kolekcjonować, w czem — nie zapominałmy o tem — papieństwo przodowało, rozbudził nie tylko życie umysłowe Włoch, i wywołał niebywały rozkwit sztuki i literatury, ale rozszedł się po całej Europie, dając, jak w kolebce Odrodzenia, impuls do obudzenia i rozwoju literatur ojczytych i sztuki. Zapłodni to i zasili

w żywe soki całe wieki następne, przetwarzając się w nowe formy baroku i rokoko w sztuce, folengizmu czyli makaronizmu i pseudoklasy-
 cyzmu w literaturze. Neohellenizm, który meteoro-
 rowo nad światem zabłysnął, był odbłaskiem tej
 samej siły żywotnej, która sprowadziła pierwsze
 Odrodzenie. Gdyby się jeszcze utrzymała teza Wor-
 ringera, że i gotyk z celtycko-greckich wyszedł
 pokładów, nad którymi neoplatonickie i grecko-
 katakumbowe przeciągnęły powiewy, jednolitem
 widmem tęczowem zatoczyłby się horyzont kul-
 tury nowożytnej. Wprawdzie porywisto zawiął
 nad Europą i twórczo na nią oddziałał roman-
 tyzm, wdzierając się do głębin duszy ludu, nie
 stanął on jednak do świata starożytnego w sprzecz-
 ności, choć ją z początku widziano, ale jak bliższe
 badania pierwiastków ludowych, folkloru i magji
 stwierdzają, nawet linii stycznych między niemi
 można się doszukać. Dlatego nie mówiąc już
 o naszych wielkich romantykach, potracających
 jeszcze o struny klasyczne epoki racjonalizmu,
 z której wyszli, ale i neoromantyzm nie stroni
 od tematów i motywów starożytnych, oświetlając
 je w sposób właściwego mu symbolizmu.

Z triumfem, jaki zgotował klasycyzmowi
 neohellenizm, wtargnął on w dziedzinę wychow-
 wania europejskiego, rugując z niej jedno-
 stronną szkołę łacińską. Ideę wykształcenia ogólnego,
 którą już miał Jan Amos Komeński w swoim
 pojęciu pansofji, ujął wielki Humboldt w formę,
 która stała się fundamentem gimnazjum nowo-
 żytnego. W jej konstrukcję wszedł i uniwersa-
 lizm renesansowy i harmonja grecka, którą wy-
 wiesił na swym sztandarze neohellenizm. Obok
 języków klasycznych, które prym wiodły, stały
 języki nowożytne i przedmioty realne. My znamy
 ten system, bo przenieśli go na grunt austriacki
 z pełnem zrozumieniem jego doniosłości trzej

niepośledni ludzie: Exner, Thun, Bonitz, — stworzony przez nich Zarys organizacyjny stał się podstawą gimnazjów. Że w nim język ojczysty i historia ojczysta, które długo spychano lub zbywano, musiały przyjść do głosu i znaleźć należne im miejsce, to było postulatem sprawiedliwości, — że system ten wzbogacił się o wychowanie fizyczne, to owoc ewolucji zapastrywań, który zapanował w całym świecie i nową nić nawiązał z światem starożytnym. Wszystkie inne zmiany są wypaczeniem podstawowej myśli gimnazjum i pojęcia, jakie z nazwą gimnazjum zwykliśmy łączyć. Usprawiedliwiamy je zazwyczaj wojną i przewartościowaniem wszystkiego, jakie ona sprowadziła. Ale przeniesienie nazwy gimnazjum na inne szkoły, przyczepienie mu epitetu „ogólnokształcące“ narówni ze szkołą ludową jest pomieszaniem pojęć, jakiego gdzie indziej mimo wojny nie popełniono. Napchanie przedmiotów konkurencyjnych z językami klasycznymi a nawet częściowo czy całkowicie je wypychających — jest to faszerka, nie mająca nic wspólnego z równowagą, która była duchem gimnazjum, dającego ogólne wykształcenie, oparte o nauki językowo-historyczne i matematyczno-przyrodnicze. Jak dalece dziś zatarło się poczucie tej równowagi, uderza w ocenie majoryzowanie przedmiotów humanistycznych już nie tylko przez inne przedmioty nauki, ale przez przedmioty zręcznościowe. Takiego zdezaubowania humanizmu nigdzie niema, nawet tam, gdzie po wojnie wzięła górę opozycja przeciw wykształceniu humanistycznemu, gdzie potworzono nowe szkoły i dano im właściwe nazwy, które mówią, czem one są. Nasze typy mają być rozgałęzieniami gimnazjum, ale pierwowzorem ich zrobiono szkołę realną, rodzaj z innych wyszły założeń, choć równoległy i równy z gimnazjum,

a gimnazjum pierwotne i właściwe pomieszczono wzgardliwie na końcu typów, wysuwając przedeń nawet płód wtórny, gimnazjum realne, choć już w chwili powstania nie budził zachwytu, ale zalecający się jako odpowiednik „gimnazjum filologicznego“ w zaborze rosyjskim.

To odwracanie się od humanizmu na terenie wychowania publicznego, stojące w rażącej sprzeczności z naszą przeszłością, jest płonką wyrosłą u nas na rozłogach podziałów, którą wojna światowa, opalizująca triumfami techniki, obiecywała przemienić w rajski dla dalszych losów świata owoc. Pierwsze zwycięstwa wyrywały z ust zwycięzców zapowiedzi zerwania z estetyzowaniem przedwojennem. „Was wir waren, sank in Trümmer“ — śpiewał Sudermann, nie przeczuwając, że to się ziści, ale nie w tem, jak w pierwszym oszołomieniu myśłano, znaczeniu. Uzależnienie państw europejskich od złota Ameryki w czasie wojny podbiło na rynku europejskim siłę materialną ponad wszelkie wartości. To katastrofalną wróżyło przyszłość dla wszystkiego, co nie jest siłą i co nie jest materją. Przyszedł rozrachunek wojenny i wypadł inaczej niż z układu sił się zanosilo. Zwycięski Foch, który nie wahał się nazwać wojny nieszczęściem, co brzmi i w tytule Pamiętników Clemenceau'a: *Grandeurs et misères d'une victoire*, przypisał zwycięstwo moralnej przewadze narodu, która dała mu przetrwać wszystkie kryzysy wojenne.

W powojennem już regulowaniu stosunków amerykańizm działa jak totem ludów pierwotnych, wytrącający nas z samodzielności sądu i wszelkich poczynań, choć przez wieki świeciły nad nami ideały humanistyczne, i to nawet w czasach, kiedy politycznie przestaliśmy istnieć. Światło tych ideałów, rozmigotane wichurą wojenną, nie

ściemniało, ale dalej niezamącenie jaśnieje. Skonfrontowane z dzisiejszym dniem, który nad wielu wartościami obwieścił hasło rewizjonizmu, wytrzyma wszelką próbę, jak ją przetrzyma i przetrwa nasz Fredro, Sienkiewicz, hasła filomackie, poezja romantyczna z Mickiewiczem na czele, którego porwał także wir rewizjonistyczny, ostudzony krytyką poważniejszych głosów, ostatnio sądem Askenazego w nowym wydaniu Łukaszińskiego¹⁾). Trzeba tylko patrzeć na starożytność nie z trójnoga sędziego, który ma przed sobą rzekomego winowajcę, ale przecierać dobrze oczy, by dojrzeć, czem ona jest i jaka jej wartość, nie rzucać na szalę oceny wspomnień z lat szkolnych, które może do kogoś tylko koszmarem walc z łaciną i greką się odzywają, boć rzecz to pewna, że ogół wychowanków gimnazjalnych w obrazach, wyniesionych z ławy szkolnej, z upodobaniem szuka reminiscencyj z lekcyj języków klasycznych. Sieroszewski w „Souvenirs de Sibérie“, odczytanych świeżo w Sorbonie paryskiej, opowiada, że go jako zesłańca głębokiej Syberji uratowała od rozpaczki i melancholji przesłana Eneida Wergilego z dykcjonarzem, nawiązując nić wspomnień z czasami najbardziej czarownemi szkolnego dzieciństwa.

Dalej — w ocenie starożytności nie drapować się w skrajną tegoczesność, potępiającą każde

¹⁾ Na krzywdzące tajny ruch akademicki w Wilnie hipotezy niektórych rewizjonistów warszawskich (przedewszystkiem J. N. Millera) odpowiedział pozytywnie Askenazy w ekskursie t. II, str. 221: „Potężny, magnetyczny ładunek duchowy, z serca największego litewskiego związkowca na cały bijąc naród, przysposobi, zapali zdała rewolucję w szawską. I niedarmo nazajutrz po nocy listopadowej, od wczesnego ranka, odpisane setkami rąk młodych, rozumnych szalem, a odciskających gwałt gwałtem, zajaśnieją na murach Warszawy spiżowe strofy Ody do młodości“. Pozornie bawili się, ale ideowo nieprzejednani wobec Rosji i caratu, czemu Mickiewicz dał wyraz w „Dziadach“, przygotowali powstanie.

cofnięcie się myślą wstecz jako nierealne. Dla oka zdrowego, nie dotkniętego ośmą uprzedzeń, starożytność przedstawi się jako ów czynnik, który wznosił monumentalny gmach kultury, otwierając wszystkim czasom nieskończone możliwości dalszej jego rozbudowy. Niemcy mają na to obiegową nazwę „die Antike“. Nie pokrywa jej, brzmieniem podobny nasz wyraz „antyk“, choć w ostatnich czasach często się go w tym sensie słyszy. Pochodzenie ich to samo, ale znaczenie „antyk“ inaczej zdeterminowane niż „die Antike“, np. anonsowane w ofertach „möble antyczne“ nie są sprzętem greckim ani rzymskim; w gwarze wschodniej antyk znaczy tyle co Antek (Antoni), wreszcie antyk ma i odcień znaczeniowy ujemny o wartości czasem nadgryzionej, pogardliwie prawie tyle, co „rupieć“.

Mniejsza o nazwę — rzecz sama to nie fantazja ani produkt retoryki, ale stuprocentowa rzeczywistość. To musi się bardzo silnie podkreślić, jak dzisiejszym czasom trzeba było przypomnieć, że „*alle Wirklichkeit ist die Verwirklichung des Geistes*“ (W. Porzig w studjum o Aj-schylosie — Staat und Geist Band III). Duch starożytności ucieleśnił się w dziełach wielkiej twórczości, które do nas o sobie podwójnym mówią językiem: językiem spuścizny literackiej i jeszcze wymowniejszym głosem świadectw wykopaliskowych. Jedne jak drugie mnożą się przy współzawodnictwie narodów całego świata. Nauka i pieniądz idą w ofiarne zawody. Otworzyły się jakby na zaklęcie uczonych różdżkarzy depozytowe schowki tętniącego niegdyś na ziemiach klasycznych życia. W żywej bezpośredniości wyłania się ono z wulkanicznych popiołów Wezuwjusza, z zamuleń ujścia Tybru, z afrykańskich zasp piaszczystych pustyni. Nazwę „Pompei“ roz-

ciąga się dziś na Ostję, Timgad, Leptis Magna, ojczyznę Septimiusa Sewera, który swe miejsce rodzinne rozbudował i przyozdobił, jak Pius II (Eneaszy Sylwusz Piccolomini) zrobił z rodziną Corsignano, które przekształcił na Pienza (miasto Piusa), jak to obecnie dzieje się z wioską rodzinną Mussoliniego, Predappio (koło Forli), przetwarzające się w miasto najmodniejszych will dokoła ubogiego domku, w którym Benito przyszedł na świat i kuł w kuźni ojca swego. Technika górnicza podkopami pod Resiną i Portici dociera do Herculaneum, zakutego w skałmieniały szlam wulkaniczny, przez który pierwszy w początkach XVIII w. przebił się generał austriacki Elboeuf przypadkowo, kopiąc studnię. Wojna, która rozszerzyła terytorja Grecji i oddała Francji mandat nad Syryją, ożywiła poszukiwania archeologiczno-epigraficzne na hellenistycznym Wschodzie i niewyczerpanym terenie Hellady z wyspami. Miejsca i czasy, zdawałoby się dawno zamarłe i pogrzebane, budzą się ze snu wieków w papirusach z dziełami wielkiej literatury i zapiskami wydarzeń, które niosło życie codzienne, w zabytkach nowych architektur i rzeźb, w bogactwie napisów, w różnorodności form i motywów zdobniczych ceramiki i toreutyki, a nawet w niepokaźnych skorupkach (ostraka) i tabliczkach kłatewnych (defixionum tabellae). Dno morza Śródziemnego oddaje dzieła sztuki, pogrążone w jego toni wraz z okrętami, które je wywoziły z Grecji i u wybrzeży Peloponezu i Afryki się rozbiły. I morze Egejskie zwraca powierzone jego falom skarby. Nie myślał też Kaligula, że zatopione przez niego w jeziorze Nemi galery znajdą się po wiekach na powierzchni ziemi — z woli człowieka, któremu i to się nie oparło. Znalezione archiwum tabliczek klinowych w Boghazkői koło Angory wskrzesiło

naród Hettytów, zwanych w biblji Chittim, których Izraelici zastali w ziemi obiecanej, których znała egiptologja jako Cheta, a dokumenty babilońsko-asyryjskie pod nazwą Chatti. Odczytanie tych tabliczek, znaczy przewrót w historii Wschodu, do którego w nowem świetle staje i Grecja przeddziejowa ze swemi, jak dotąd uznawaliśmy, podaniami, łączącemi ją z wybrzeżem Azji Mniejszej. Odkrycie to nie mniej sensacyjne jak odkopanie grobu Tutenkhamena, młodo zmarłego faraona, po którego zgonie Egipt i królestwo Hettytów znalazły się w jakiejś zagadkowej do siebie relacji i sieci knowań o następstwo. Rydel rozruszał przesiąkłe cywilizacjami ziemie Mezopotamji, dokopując się śladów starej kultury Chaldei, Babilonji, Assyriji i późniejszych zluzowań, które z prawego brzegu Eufratu tu docierały. Angielsko-amerykańskie wykopaliska w Ur, ojczyźnie Abrahama, budzą z uspieńia przeddziejowych Sumerów.

Rosnące ciągle materiały, zużytkowane w opracowaniach fachowych, odsłaniają nam czasy zamierzchłe w tak konkretnem różniczkowaniu, że nasz puls życia zdaje się je wyczuwać. Ta styczność objawów przy tak wielkiej dalekości czasowej wywołuje zrozumiałe zainteresowanie, które nietylko wojnę przetrwało, ale po wojnie się wzmogło, o ile nie przygniótł go defetyzm przegranej albo, jak u nas, nie dość szeroko i głęboko ugruntowana znajomość starożytności.

Starożytność może nie być wzorem, jakim go widział i głosił Winkelmann w sztuce, nie musi być stacją nadawczą dla odbiorów dzisiejszych, choć na długich falach dziejów mimo wszelkie szmery i trzaski transmisja jest niezaprzeczona, — przecież jedna z niej nuta trafi do nas niezawodnie i wywoła oddźwięki, które zwłaszcza dla zwaśnień powojennych i osiadłej na

duszach pomroki kojącymi mogą być dźwiękami. Tą gołębicą, niosącą gałązkę pokoju i pojednania w zalewie nieufności i wrogich usposobień, jest idea człowieczeństwa, wypełniająca pojęcie starożytnej „*humanitas*“, które przypomina ludziom wszelkich nacyj i czasów, że są ludźmi i względem siebie powinni nimi być. Jest to najszersza platforma, na której ludzie wszelkich odcieni przekonań, spotkać i porozumieć się mogą, nawet gdy ich odmęty wojny skłębiły i oderwały od siebie. Historyczne rozważania Maksa Mühl'a w książce „*Die antike Menschheitsidee in ihrer geschichtlichen Entwicklung*“, (wydanej w zbiorze O. Immischa „*Das Erbe der Alten*“, u Dietricha w Lipsku w r. 1928) nazywa Walter Otto „*Fragen der aktuellen Bedeutung*“ ze względu na nasze czasy.

Druciane zasieki, które wojna potworzyła, stara się, jak widzimy, zerwać Liga Narodów. Piękny to rys młodzieży szkolnej księstwa Walji, że od r. 1922 zwraca się z propagandowym apelem do młodzieży wszystkich krajów, by zabiegami o zbliżenie się i zbratanie narodów przyczyniała się do prędszego zrealizowania celów Ligi, która już bogatym plonem 10-lecia popisać się mogła. Na te orędzia i orędownictwa młodzieży angielskiej zwróciło także uwagę szkół naszych Ministerstwo Oświecenia. Uczczeniem pacyfistycznych celów Ligi Narodów jest *Laternia pokoju* w Atenach, wzniesiona na pobliskiej górze Lykabetos, płonąca daleko widzialnym światłem w dniach odbywających się posiedzeń Ligi. Światło to dosięgnie wszystkich zakątków świata, w których obchodzić się będzie w tym roku z dzisiejszą Helladą 100-lecie jej niezawisłości. Do zapanowania pokoju powszechnego zdążają amerykańskie obchody „*Dnia dobrej woli*“ (Good Will Day), pracując nad łagodzeniem waśni mię-

dzynarodowych i szerzeniem ducha jedności. Przebłycki ludzkiego odczucia doli i czynnej pomocy w potrzebie widać już na zwichrzonym burzą wojenną obliczu świata. Sowjecki łamacz lodów Krassin śpieszy na ratunek rozbitkom podbiegunowej wyprawy gen. Nobile. Na sygnał zagrożonego sterowca niemieckiego biegą żołnierze francuscy ku lotnisku Pierrefeu z pomocą i radują się wraz z szczęśliwie lądującą załogą. Po zasądzeniu patrioty słowackiego prasa obca, neutralna, pisała o powszechnem, ludzkim współczuciu dla skazanego szermierza wolności, nie cofając się w określeniu aktu przed wyrażeniem „*ein politischer Fehlgriff*“. Potrzeba usunięcia nienaturalnych zapór jest powszechnie odczuwana. Nad tem radzą kongresy pokoju, konferencje rozbrojeniowe, komisje kodyfikacyjne międzynarodowego prawa pokojowego, pracują wielkie związki społeczne, jak niemiecki „*Versöhnungsbund*“, dający i u nas odczyty. Pod tym znakiem ma być zwołany *sobór powszechny*, zgodnie z hasłem pontyfikatu Piusa XI „*Pax Christi in regno Christi*“ i z pierwszym jego błogosławieństwem, jakiego zaraz po swym wyborze udzielił Urbi et Orbi, nie wewnątrz bazyliki św. Piotra, jak po wypadkach r. 1870 było zwyczajem, ale z zewnętrznego jej balkonu, aby znękanemu światu zapowiedzieć niejako, że ma dlań odrodzenie.

Zasklepień skorupowych unika nauka, z natury swej nie znająca i nie uznająca kordonów i słupów granicznych. Sprawozdawcę odbytego kongresu esperantystów zachwyca nie tyle sam język sztuczny, ile środek, z którym giną rozdzielania ludzi nawet językowe. I beletrystyka poważniejsza, która nie gubi się w czczej banalności, nie tonie w mętach seksualnych perwersyj i zboczeń, zahacza o struny, które drgają

godnością człowieczeństwa. W wielkoduszne plany Żółkiewskiego wobec Moskwy, udaremnione samolubną polityką Zygmunta III, wplata Koszak-Szczucka („Złota wolność“), jakby dzisiejsze myśli i pragnienia: „Podnieść ich, uczłowieczyć, Boskiego Imienia nauczyć! Apostolskie dzieło rozszerzyć! Dziedziny ludzkości zwiększyć!“ — Odarte z cech człowieczych życie Zagłębia górniczego w trylogji *Czarne skrzydła* Kaden-Bandrowskiego szarpnęło duszą dzisiejszą, którą wielostronny talent autora umiał poprzednio ukłósać słodkimi tonami wspomnień lat dziecięcych („Miasto mojej matki“, „W cieniu zapomnianej olszyny“). Rozsławiony z nagłą Remarque trafił w ogólną dziś tęsknotę za człowiekiem, którego wojna podeptała i zhańbiła. Gdy w scenach okropności okopów H. Barbusse'a czuć jeszcze było literaturę, to u Remarque'a jest tylko reporterstwo zakulisowej prawdy komunikatów oficjalnych: „Im Westen nichts Neues“, — jest zdemaskowanie konwencjonalnych frazesów o młodych bohaterach, poniewolnych w rzeczywistości ofiarach rzezi masowej i jatek ludzkich. Przejmujący grozą opis ognia szturmowego wybrzmiewa w znamienny finał: Kiedy zwolniał i ustał szturm, z automatów-mordu, „allmählich werden wir so etwas wie Menschen“. Bolesne uczucie wyrywa się z pod pióra autora na wzmiankę wypadów okopowych: „Genau wie wir zu Tieren werden, wenn wir nach vorn gehen, weil es das einzige ist, was uns durchbringt, so“ i t. d. Takie komunikaty, jak „*Na zachodzie bez zmian*“ i takich Kantorków znaleźmy aż nadto. Gehennę frontu dopiero nam przeżycie pokazało. W książce Remarque'a ujrziała krytyka od pierwszej chwili „unbedingt das Beste, Grösste, weil es das Menschlichste ist“.

W ślady Remarque'a rzucili się różni frontowcy: u nas T. Kudliński („Smak świata“), J. Kossowski („Zielona kadra“), w Niemczech Renn („Der Krieg“ a jest już i jego „Der Nachkrieg“), Glaeser („Rocznik 1902“), a przede wszystkim Erich Dwinger z książką „Armja za drutami kolczastymi“ (Die Armeehinter Stacheldraht), ukazującą bezmiar nędzy i upodlenia w obozie koncentracyjnym na Syberji oraz Henryka Lamma „Das Frontkämpferbuch“ (1930), którą nazwano „Gorgo einer gewaltigen Zeit“, — z amerykańskich pisarzy najbardziej czytany Ernest Hemingway, z angielskich Ryszard Aldington. Tematy wojenne są ostatnią modą sceniczną. Anglika Sheriffa „Kres wędrówki“ obiega sceny europejskie, teatry londyńskie zaopatruje Griffit w sztuki z opowieścią wojenną. Jest i wojenny front na wesóło w „Szwejk“ Jarosława Haśeka, a i na wszechwładnym dziś ekranie rozpanoszyła się wojna z najgłośniejszym tu obrazem „J'accuse“ sławnego poety ekranu Abla Gance'a, w którym niezliczone pułki poległych formują się w gigantyczne litery wyrazu „J'accuse“, wstrząsający protest przeciw okrucieństwu wojny. Wszystkie te tematy wojenne, przechodzące już w stałą rubrykę: „Nachlese der Kriegsernte“ przy całej tragiczności dla rodu ludzkiego są w gruncie jego apologją. Nawet Cezara robi Bernard Shaw pacyfistą, choć historyczny Cezar uważał się za pacyfikatora w sensie rzymskim (Cezar i Kleopatra).

W tę atmosferę dzisiejszą, przesyconą wołaniem serc za uczłowieczeniem się ludzi, akordowo wchodzi starożytność i to w roli wprost misyjnej. Czynnikiem to jeden z niewielu wartości, nie zdewaluowanych przez wojnę. Świeża sława Norwegji, jako laureatka Nobla, Sigrid Undset,

identyfikuje ją z pojęciem naszej europejskości i twierdzi: „Solange wir nicht in der Historie der Griechen und Römer die älteste Geschichte unserer eigenen Kultur erkennen, haben wir auch keine europäische Kultur“. W poetycki obraz ujął tę myśl zmarły niedawno pisarz o wybitnym nowoczesnym profilu, Hugo von Hofmannsthal: „Es ist ein herrliches Ganzes, tragender Strom zugleich und jungfräulicher Quell, der immer rein hervorbricht“.

Emanacyjną siłę spadku duchowego po narodach klasycznych uchwycić w całokształt usiłował już Max Schneidewin w dziele „Die antike Humanität“ 1897. Wilhelm Nestle w dziejowym wspomnieniu zamknięcia Akademii Platońskiej przez Justynjana („Ein Gedenkjahr der europäischen Geistesgeschichte“ 529—1929, w *NJb für Wissenschaft u. Jugendbildung* 5 (1929) 4 p. 385—395) mógł słusznie skonstatować, że filozofja grecka, którą już skepsis i mistyka toczyły, ze zwyciężeniem chrześcijaństwem nowe rozpoczęła życie i nowe triumfy w pochodzie myśli ludzkiej po dziś dzień. W dziele Tukidydesa odnajduje Felix Wassermann („Vergangenheit und Gegenwart“ 1930, 1) tyle jeszcze dzisiaj żywotnych poglądów, że większa znajomość historyka greckiego przydałaby się politykom dzisiejszym. Może i ta wiadomość dzisiejszemu człowiekowi nie byłaby zbędna, że Kolumb, uzbrojony w wiedzę starożytną puścił się na odkrycie Indyj i choć odkrył inny świat, nazwa Indjan dla tubylców zachowała się dotąd. Poza badaniami fachowemi zlewa ten spadek duchowy po narodach klasycznych natchnienie twórcze na literaturę nowszą i najnowszą, a głębią swą pociąga najwybitniejsze

umysły. Po złożeniu urzędu sekretarza stanu zwrócił Rampolla, ów „cardinalione“ (wielki kardynał), jak go i wtedy jeszcze nazywał Pius X, swój interes hagiograficzny na pogranicze starego Rzymu i młodego chrześcijaństwa, starcia dwóch potęg, które już tyle talentów swym urokiem nęciło, jak i włoskiego muzyka Gaetaniego znięcił zatarg aleksandryjskiej filozofki Hypatji z gminą chrześcijańską tego miasta. Zamykając swą bujną karierę polityczną, Clemenceau literacko zajął się Demostenesem, którego postać w tak ostrych konturach odcina się na nieboskłonie starej Hellady. Wśród posągów muzeum „Braccio nuovo“ może najbardziej wpada jego posąg indywidualnością wyrazu, której się nie zapomina, a przekazana wielkość jego charakteru i miłości ojczyzny niezamąconym świeci blaskiem, choć różne Aischinesy i w nowszych czasach starają się go przyćmić. Dla oka Clemenceau'a czysto się zarysowuje, bo z czystą intencją przystępuje on do obserwacji wielkiego Hellena, którego proroczy głos, jak naszego Skargi, był głosem wołającego i nie odwrócił Cheronei. — Zapatrzenie się Clemenceau'a w świat grecki, przebija wśród oceny dyplomatów kongresu wersalskiego w charakterystyce Venizelosa, jako „syna Ulissesa i Kalipso, uczciwie przesiąkniętego chytryością helleńską“.

Tak to pod niebem Grecji skryształizowane pojęcie przywykliśmy za rzymskim „cultura animi“ nazywać kulturą, choć twórca jego Platon nazywał je *παιδεία*. W rzeczywistości na wyżynę tej idei jako normy stosunku człowieka do człowieka ma nas wydzwignąć wykształcenie, co podkreśla z naciskiem i ostatnia encyklika papieska o wychowaniu. W tem posłannictwie nigdy nie słabnącem jak długo ludzie istnieć będą, zadanie starożytności wychodzi — żeby się

posłużyć terminami w nauce niemieckiej ustalonymi — poza „Imitation“, nawet poza „Kulturkunde“, do „Trägerin der Bildungsidee“, staje się „Normbegriff des Menschseins“, wieczystą „Kulturnorm“. Nie inny też dźwięk ma hasło: „Uomini siate“, pod jakim Giuseppe Stocchiero otworzył swoją „Conferenza alla gioventù per la formazione del carattere“, albo taki sam napis francuski na wieży poboju pod Arras. To nawoływanie dalekim zasięgiem potraça o piękne zdanie Menandra: Ὁς χαριεν ἐστὶ ἀνδρῶπος, ἀν ἀνδρῶπος ἦ.

W epoce aleksandryjskiej wysokie to pojęcie rozdrobniło się i zeszło w niziny, odbite echem terencjuszowskiego: „Homo sum et nihil humani a me alienum puto“, co Unamuno z hiszpańską konkretyzacją zmienia w „nullum hominem a me alienum puto“, konkretyzacją, znaną i z ascetyki hiszpańskiej, przenoszącej medytacyjne zatopienia w obrazy konkretne. Z odwetowego niejako upomnienia się o prawa człowieka, zgwałcone przez wojnę, wyrósł grób Nieznanego żołnierza, z baszty starego zamczyska w Roveretto rozkołysał się ulany z armat zwycięskich dzwon, który każdego dnia przez pięć minut dzwoni ku czci ofiar wojny wszystkich narodowości, a raz w roku nadto ku uczczeniu poległych jednego narodu. I Polska mieć ma taki dzień. I to się jej należy. Krwi polskiej przelało się dużo. Przytem w rodzinie narodów zachodnich nasze miejsce, odkąd Mieszko I związał nas z Rzymem. Tej przynależności i dobrodziejstw uczestniczenia w wielkiej kulturze Zachodu byliśmy świadomi jako odbiorcy i pomnożyciele i ku źródłom jej zwracaliśmy nasze oczy i nasze kroki. Na ścianach Uniwersytetu Padewskiego błyszczymy nazwiskami szukających tam nauki, nawet na-

zwiskami dwóch naszych królów, Batorego i Korybuta. Wychowanek tego uniwersytetu Stanisław Niegoszewski, słynny z daru improwizacji, którym popisывał się na turnieju poetyckim w SS. Giovanni e Paolo w Wenecji i zdobył wieńiec poetae laureati, wydał u sławnego Alda Manutiusa, z którym się przyjaźnił, ku czci Jana Zamoyskiego poemat heroiczny i 6 dytyrambów w 6 językach: łacińskim, greckim, włoskim, hiszpańskim, polskim i hebrajskim. Oratorjanin Juwenal Ancira, by pozyskać Batorego dla Kolegium Polskiego w Rzymie, za radą św. Filipa Neri posłał mu podobiznę kolumny Trajana. I Batory bardzo cenił sobie ten dar.

Szukaliśmy humanizmu Zachodu i byliśmy tam znani jako humaniści. Podziwiano naszą łacinę i my widzieliśmy w niej ten znak niezatarty, który nas pieczętował wobec obcych, dawał dystynkcję społeczną, był rodzajem „tessera hospitalis“, otwierającej nam podwoje Zachodu. Jubileusz 350-lecia Wszechnicy wileńskiej, który w uroczystościach obchodu zbliżył nam postać Batorego, przypomniał może niejednemu tę scenę, w której król przy zwiedzaniu szkoły zwrócił się do ucznia z zachętą: „Disce, puer, latine, faciam te mościpanem“, — „ucz się łaciny, a pójdiesz w górę“. Zdawałoby się, że głos ten w audycji naszej przeszłości powinien być słyszany po czasy dzisiejsze; — odwrócił go niestety i ściszył fading reform szkolnych, które nastawiły się na chwytliwsze, choć bardziej nam obce, nadania. W dziwnej ambicji prześcignięcia wszystkich nowoczesnością wyzbywamy się najistotniejszej cechy naszych tradycji historycznych, zrywamy z „złotym kwiatem“, jakby go nazwał Gobineau. Cuda techniki nie odwodzą od starożytności, która parała się zagadnieniami technicznymi, pozostawiając wszystkim czasom

w testamencie legaty pokaźne i impulsy niewygasające, — dobyta świeżo ze spuszczonego jeziora Nemi galera wprawia w zdumienie techników dzisiejszych. Ale głośne dziś puzony dmą w zapowiedź przetopienia naszych tradycji religijnych i narodowych w ogniu dnia dzisiejszego. Od przetopienia do stopienia byłoby niedaleko. Na szczęście ogromnej większości społeczeństwa nie spieszo wyrzec się ideałów, które nam przekazali przodkowie, a które są krasą i chlubą naszych dziejów, a tak samo jasną gwiazdą na drodze, po której zdążać chcemy w przyszłość.

Humanizm, który jest wartością ponadchwilową, wieczystą, w nikłej lub skarlłowacialej formie utrzymał się w zreformowanych programach dzisiejszego gimnazjum. Z emfazą właściwą ich tenorowi mówią o kulturze klasycznej a nawet każą jej uczyć, ale zbaczają z drogi, którą do kultury się dochodzi. Kultury się nie uczy, ona jest wpływem nauki, jej wypromieniowaniem. Podobnie w amerykańskich szkołach uczą „uśmiechać się“, co może być tylko wpływem pogody ducha. Kultura jest nieporównanie czemś więcej niż garścią luźnych o życiu starożytnych wiadomości, na co wystarczała dotąd skromna nazwa „realja“. Jeżeli w stroju damy z czasów Tertuljana odgrywa rolę *ornatus i cultus* — kosmetyka i biżuterja — to *cultura animi* jest drogocennym klejnotem, jest pięknem samem, a nietylko jego fikcją, mającą pozorami. Narzędziem zdobycia kultury są języki, w których ta kultura jest złożona, są uratowane z rozbicia wiekowego zabytki, które są „klasycznymi“, jak mówimy, tej kultury świadkami. Czem jest dla jednostki język macierzysty, gdy chodzi o najwierniejsze oddanie myśli tej jednostki, tem jest dla chwycenia kultury klasycznej w jej tętnie żywym język łaciński

i grecki. Przekłady to cienie filmowe, markujące tylko rzeczywistość. One przesuną sensne obrazy, ale tej krwi, tego kolorytu, które im twórca nadał, mieć nie będą. Język sięga do źródeł, a źródłowe rozumienie epoki i jej ducha otwiera tajemnice sztuki, jej rodzajów i oddziaływania na człowieka współczesnego. Z napisów wotywnych, jedynych nieraz śladów dzieł, które zdobiły święte okęgi, wyczuwa się nastrój wotanta, który spłacał bóstwu dług wdzięczności za wysłuchanie prośby. Skromne *ἀνέθηκε* (ofiarował) lub „votum solvit libenter merito“ (chętnie wywiązał się ze ślubów) otwiera duszę ofiarnika. Czy gonione po muzeach i galerjach gromady Cooka widzą te dzieła sztuki, na które pod dyktamem przewodnika rzucają martwy wzrok? Słusznie radzi Hipolit Taine przed wstąpieniem do takiego muzeum, jak watykańskie, przeczytać parę rozdziałów jakiegoś dialogu Platona. Oczywiście przeczytać w oryginale. Tymczasem nowe programy rugują języki klasyczne albo pozostawiają je w jakimś przytytkowym szczątku. To niedocenywanie walorów klasycznych w wychowaniu wpływa może z ogólnego obniżenia się u nas zmysłu historycznego, poprzestawanie na mgławicowych, zamazanych linjach przeszłości dziejowej, jaką szerzy nasza publicystyka. Malejąca znajomość starożytności nie zapali nikogo do tytułu, który zdobył nauczyciel Gonzagów i twórca radosnej szkoły „La Gioiosa“, Vittorino da Feltre, nazwany „omnis humanitatis pater“, którego za naszych czasów widzieliśmy w Kazimierzu Morawskim, który okiem intelektualnym i emocjonalnym patrzył na starożytność i tak patrzeć kazał z katedry uniwersyteckiej i z dzieł naukowych, jakie wychodziły z pod jego pióra, nie tylko głową ale i sercem kierowanego. Z podobną słonecznością i cie-

płem odnosił się do starochrześcijaństwa i stykającej się z nim kultury grecko-rzymskiej arcybiskup Józef Bilczewski, humanista, godnie zasiadający na stolicy Grzegorza z Sanoka. W tejże sferze ducha, co tamci, obracał się z przekonaniem popartem autopsją ziemi klasycznej Sienkiewicz, który może najlepszą dał syntezę kultury klasycznej w zwięzłych słowach: „Grecja stworzyła mądrość i piękno, Rzym siłę i prawo“, a swój historjozoficzny pogląd na świat zamknął w prostą formułę: „Wszystkie systemy filozoficzne przepadają, a Msza odprawia się po staremu“.

Ale z upadkiem filologii nie ta jedna szłaby zatrata w kształceniu młodzieży. Językiem starożytnym przyznaje się powszechnie pewien regulator w myśleniu, — jakoż wykształcenie formalne daje wyróżniającą cechę wykształceniu humanistycznemu, które nigdy nie zblednie, jak długo wyraz kultura nie będzie pustym dźwiękiem. Starożytność grecko-rzymska jest głosicielką szlachetnego umiaru, owego tłumika wszelkiej wybujałości i ekstrawagancji, która życie społeczne czyniłaby nieznośnem. Grecka *σωφροσύνη*, odradzająca się w rzymskiej „modestia“ czy „continentia“, wchodzi w istotę cnót, znamionujących człowieka wychowanego. Ostatnich lat deformistyczne kierunki sztuki nawracają już na tory, które w regionach piękna dojrzeli Grecy i wszystkim czasom wskazali. W starej Helladzie nie mówiono o patologji sportu, gdy dzisiejsze rekordy dają powód do takiego mówienia, odbiegając widocznie od zawodów praojczyzny sportu, która będzie zawsze busolą dla zdrowych wyczynów fizycznych. I pogarbionym falom piśmiennictwa służy literatura klasyczna do prostowania drogi i wygładzenia nurtów, któremi płynie. Skargi na przerost metafor w prozie,

szczególne w prozie autorek, na w impresjach samych gubiącą się poezję, mogą rozplynać się pod działaniem wzorów greckich i rzymskich, którym tyle literatura nasza zawdzięcza. Niezmienną wartość spuścizny po Grekach i Rzymianach uznaje nie tylko społeczeństwo europejskie, jej czar idzie i za oceany. Argentyna, ojczyzna tanga, tak ceni sobie dominujący w życiu narodowym całego kraju wpływ łacińskiej kultury, że corocznie obchodzi „El Dia de la Raza“, t. j. „Dzień rasy“, co u nas przetłumaczonoby z pewnością: „święto rasy“. Waszyngton, stolica polityczna U. S. A., chlubi się stylem greckim swoich gmachów reprezentacyjnych i kopułą Kapitolu. W imię naszej duchowej tradycji i kulturalnej przeszłości występują z obroną kultury klasycznej koła najwyższej inteligencji; instynktownie wystąpił z nią lud śląski, domagając się zatrzymania gimnazjów klasycznych, a w gimnazjach humanistycznych wprowadzenia łaciny od klasy I: nie chce widzieć swoich gimnazjów niższymi od gimnazjów niemieckich, które języki starożytne zatrzymują. Od ustroju naszych gimnazjów zależeć będą i uprawnienia, jakie nasi absolwenci po zagranicznych uczelniach uzyskiwać będą mogli. Walka o 8-klasowe gimnazjum i to z językami starożytnymi ma między innymi także ten praktyczny cel na względzie. W projekcie radykałów francuskich 8-letnia szkoła średnia to konieczność dla cenzusu inteligencji, w szkołach typu literackiego z przewagą języków starożytnych.

Ponieważ lubimy skwapliwie nastawiać słuch na zagraniczne modne nowości i już za Binetem i jego hasłem „Ecole sur mesure“ zaczynamy mówić o „Szkoła na miarę“, możemy znowu dać się unieść prądowi wybujałego indywidualizmu, który u nas obiera drogę naj-

lżejszego oporu. Na lep tej nowości nie poszedł międzynarodowy kongres nauczycieli szkół średnich w Hadze (lipiec 1929), który uchwalił, aby jedne były programy dla wszystkich, pnących się do uniwersytetu, nie wykluczając jednak racji dla wykształcenia, do jakiego jednostka byłaby specjalnie uzdolniona. Rozumna pedagogja nie będzie nigdy przeciw próbom jakiegoś zakładu, ale bronić się musi przed eksperymentami całego szkolnictwa, które u nas w nałóg przechodzą. Na szkołę patrzeć nie można pod kątem widzenia ułamkowym, już nie mówię polityki, która dostępu do szkoły mieć nie powinna, ale też i doktryny, która zawsze grzeszy pewną ciasnotą. A jest nią i osławiona praktyczność amerykańska, która dzisiejsze reformy inspiruje, a która też podpada pod perspektywę interesu, zwaną przez znanego ideologa Paneuropy, Coudenhove-Calergi'ego, perspektywą żabią. Z tej perspektywy przedstawiają się według niego dzieje świata jako walka o interesy, podczas gdy z perspektywy ptasiej wyglądają one jako bój o ideały. Oba te pola widzenia łączy perspektywa człowieka. To nietylko perspektywa dla Paneuropy, ale to właściwa perspektywa dla szkoły, a w niej ten najdonioślejszy głos, który rozbrzmiewa klasyczną „humanitas“, jakby w skali nawoływań dyrektora teatru z Fausta: „Greift nur hinein ins volle Menschenleben!“ Zdaleka on idzie, ale i przez nasze zagony.

„Im dalej możemy patrzeć w tył, tem łatwiej będziemy patrzeć w przyszłość“, powiedział nie jakiś fanatyk strupieszalego Zachodu, nad którym krzyżyk już robi Spengler, ale miliard amerykański H. Ford — i postanowił wybudować historyczne muzeum dla narodu amerykańskiego. Stwierdzenie tej za-

sady daje w oczach naszych Mussolini, który z atawizmem syna swej ziemi, nasiąkłej kulturą długowieczną, z jastrzębiem okiem, ogarniającem wskazania chwili, stoi na wysokości wieków w cenie i ocenie kultury klasycznej i z tych wyzryn udało mu się wstrzymać kraj przed otchłanią bolszewizmu i taką tchnąć weń siłę twórczą i wytwórczą, że Italja gospodarczo nie stoi podatkami, nie ma bezrobotnych, nie zna już wyciągających po solda rąk, że z gestem wielkopańskim otwarła za wstępem bezpłatnym skarby muzealne i dumna jest ze zwiększającej się z każdym miesiącem frekwencji. To także w wielkim stylu szkoła roztaczania kultury historycznej w kręgach, wijących się ponad zachcianki chwili. Powiew jej trafił w samą porę wrzenia powojennego, które nie tylko ściszyła, ale nagromadzoną energję obróciła w aktualność twórczą. Takie trafienie w porę ubrała pomysłowość grecka w wyobrażenie bóstwa *Καιρός*, którego wizerunek wyrzeźbiony ręką mistrza sykjońskiego Lisypposa ozdobił przedsionek świątyni jego miasta rodzinnego: smukły młodzian o uskrzydłonych nogach mknie z chyżością wiatru, za ledwo palcami nóg dotykając ziemi. Z czoła zwiewa mu bujny włos, którego nie widać na tyle głowy. W ręku błyszczy ostrze miecza. Chyży ruch zagadkowej postaci tłumaczy nam dialogowy epi gram Poseidipposa z III wieku przed Chr.: to personifikacja właściwej chwili, momentu, to rejoski trefunk, — gdy go nie uchwycimy, kiedy ku nam nadchodzi, łapiąc go jakby za czub, już go tracimy, — atrybut przypomina, że chwila decyzji stoi na ostrzu miecza. Lisyppos rodakom widocznie chciał dać naukę. Il Duce poszedł za nią. Może przydałaby się i nam, którym przysłowie wytyka: „Mądry Polak po szkodzie“, a nad głowami migocą złociste maksymy: „Ro-

bota nie zając — nie ucieknie“; „Na minucie nie zależy — nie pali się“. Ale Mussolini nie upaja się triumfami chwili, ani nie szuka odurzenia się w dymie kadzideł, — on trzeźwo myśli o przyszłości narodu. Tym duchem każe przepajać wychowanie młodzieży i jej organizacje: Balilla (od 8 roku do 14) i Avanguardisti (od 15 do 18 roku). Nie parada jest ich celem ani sportomanja, mocno zmitygowana według żądań Watykanu, ale surowe cnoty starorzymskie mają urabiać z nich przyszłych faszystów, w których kadry wchodzi po 18 roku życia na podstawie zaciągu „Il Leva Fascista“, pasującego ich na obywateli, nie inaczej jak rzymski niegdyś ceremonjał przywdziewania togi męskiej i wprowadzenia na Forum Romanum. To jest coś innego, niż mówić, jak u nas, o „wychowaniu państwowem“, oczywiście wychowaniu *à thèse*, które dziś niektórym, zwłaszcza skłonnyim do zawrotu, głowę zawraca. Przy głębszem zrozumieniu idei państwowej i więcej obiektywnem do niej ustosunkowaniu się i tu różne krzywizny się naprostują i nierówności wypełnią ku zdrowiu i dobru ogólnemu, — przecież „*Sanabiles fecit Deus nationes*“.



Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 20790

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171963